



O finansowaniu studiów wyższych

KAZIMIERZ STĘPIEŃ

1. Prawo do nauki

Nie ulega wątpliwości, że decyzje dotyczące czesnego w szkołach wyższych powinny być częścią głębszej reformy studiów. Truizmem jest stwierdzenie, że wyższy poziom wykształcenia wszystkich obywateli jest w interesie państwa i społeczeństwa. Dlatego niezbywalnym obowiązkiem państwa jest zapewnienie określonych środków na finansowanie powszechnej edukacji. Na tym poziomie ogólności zapewne wszyscy lub niemal wszyscy zgodzą się z powyższym stwierdzeniem. Różnice zdań pojawiają się, gdy chcemy uszczegółowić udział wydatków budżetu państwa na konkretne zadania związane z edukacją. Przykładowo, jeżeli akceptujemy zasadę, że wszyscy powinni ukończyć szkołę średnią, to każdy młody człowiek powinien mieć dostęp do bezpłatnej edukacji do tego poziomu.

No a studia? W moim przekonaniu, zapisane w Konstytucji prawo do nauki nie może być rozumiane jako obowiązek sfinansowania przez państwo studiów dla wszystkich chętnych. Studia to szczególnego rodzaju inwestycja, jak słusznie zauważył pan Jerzy Kuczyński („PAUza Akademicka” 206). Tyle że do listy inwestorów, oprócz zainteresowanego i państwa, dodałbym pracodawcę. Inwestycja oznacza, że coś wymaga wkładu finansowego od współinwestorów, który jest obciążony ryzykiem: może się udać i przynieść określone zyski, ale może też być chybiona. Głównym, aktywnym inwestorem jest sam zainteresowany, a państwo i potencjalny pracodawca, jako inwestorzy bierni, mogą, ale nie muszą, wejść w konkretną inwestycję.

2. Współdziałanie pracodawców

Zacznijmy od pracodawców. Uważam, że studia przygotowujące do określonych zawodów powinny być współfinansowane przez przyszłych pracodawców. Absolwenci wielu kierunków mogą znaleźć pracę w wyuczonym zawodzie wyłącznie w wyspecjalizowanych przedsiębiorstwach. Ich właściciele powinni – zamiast narzekać na złe przygotowanie absolwentów – porozumieć się poprzez swoje organizacje z uczelniami i zaoferować współfinansowanie wybranych kierunków, uzyskując w zamian pewien wpływ na programy i tok studiów.

3. Pożądany model współdziałania państwa

Drugim współinwestorem jest państwo. W ramach aktywnej polityki edukacyjnej państwo powinno określać, które kierunki studiów rokuje sensowny zwrot z inwestycji, a które raczej nie. Wbrew pozorom, nie jest to wcale trudne. Istnieją kierunki studiów (czy raczej grupy kierun-

ków), których absolwentów brakowało, brakuje i będzie jeszcze długo brakować. Są to kierunki ścisłe, przyrodnicze, techniczne i medyczne. Jakiś czas temu wysłuchałem referatu prof. Piotra Ślonimskiego, w którym argumentował on, że w Europie będzie drastycznie powiększał się deficyt absolwentów kierunków ścisłych, i nawoływał, by odpowiednio zmienić nasz system edukacyjny, uwzględniając tę sytuację. Jak mówił, Polska ma szansę stać się dostawcą absolwentów tych kierunków dla całej Europy. Dobrze wykształcony informatyk, matematyk czy fizyk bez trudu znajduje obecnie wysoko płatną pracę i tak będzie jeszcze przez następne dekady (choć niekoniecznie na stanowisku, w nazwie którego znajdzie się słowo „fizyk” lub „matematyk”). Dlaczego? Bo są to kierunki dające podstawy wiedzy przyrodniczej i metod matematycznych (w tym logiki), co pozwala w krótkim czasie opanować specyficzne umiejętności potrzebne przy konkretnym warsztacie pracy. Podobnie jest z nowoczesnymi kierunkami technicznymi, choć tu pojawiają się czasami niebezpieczne tendencje do zbytnej specjalizacji kosztem wiedzy ogólnej. Na drugim biegunie są niektóre, zwłaszcza bardzo wąsko zakrojone, kierunki humanistyczne i społeczne, gdzie możliwości pracy są ograniczone i takie pozostaną w dającej się przewidzieć przyszłości, a mimo to podaż absolwentów jest olbrzymia. Co więcej, większość studentów tych kierunków jest niedouczona i nieprzygotowana do podjęcia ambitniejszej, wymagającej myślenia pracy.

Wprowadzie w początkowych latach po transformacji ustrojowej wielu zachłysnęło się olbrzymim sukcesem edukacyjnym polegającym na kilkakrotnym zwiększeniu liczby studentów, ale znaleźli się też sceptycy, którzy widzieli w tym żywiołowym procesie określone zagrożenia. Entuzjaści wykrzykiwali, że nieważne, czy absolwent znajdzie pracę w wyuczonym zawodzie – niech nawet sprzedaje pietruszkę, ale mając wyższe studia będzie świadomym, a przez to bardziej wartościowym obywatelem. Niestety, życie szybko pokazało, że absolwent nie po to kończył studia dużym, również finansowym, wysiłkiem, by dziedzić po rodzicach miejsce przy straganie. Zaczął domagać się pracy w wyuczonym zawodzie, a o jej brak oskarżał i nadal oskarża państwo. Tymczasem wiadomo, że nigdy nie powstanie tyle miejsc pracy, by wchłonąć wszystkich absolwentów wspomnianych wyżej kierunków.

Ciekawe, że wśród krajów europejskich podobnie wysoki procent młodzieży studiującej mają, obok Polski, jeszcze tylko niektóre państwa Europy Środkowo-Wschodniej, np. Rosja, Słowenia, Węgry. W państwach o ustabilizowanej gospodarce i ustroju społecznym, takich jak Holandia, Szwajcaria, Niemcy, procent studiującej mło-

► dzieży jest znacznie niższy. Jest to zrozumiałe. W stabilnym społeczeństwie tylko niewielka część miejsc pracy wymaga wyższych studiów. Dla reszty wystarcza wykształcenie na niższym poziomie. To zapotrzebowanie spotyka się z rozkładem uzdolnień wśród młodzieży. Studium odpowiadającym współczesnym potrzebom może podolać tylko niewielka mniejszość. W nich warto inwestować. Kończenie studiów przez połowę czy więcej młodzieży danego rocznika musi oznaczać dramatyczne obniżenie średniego poziomu studiów i wymagań stawianych absolwentom. Lepiej byłoby wytłumaczyć im, że awans społeczny i finansowy można też osiągnąć, kończąc dobrą średnią szkołę zawodową. Elementem perswazji powinno być utrzymywanie wysokich wymagań wobec studentów przez wszystkie szkoły mieniające się uczelniami wyższymi.

Tak więc państwo powinno hojnie inwestować tylko w studia przygotowujące potrzebnych i dobrze przygotowanych absolwentów. Oznacza to zerwanie z obecnym systemem płacenia „od głowy studenta i przeliczeniowego uczonego” na wszystkich uczelniach publicznych jednakowo, gdyż prowadzi to do nadmiernego zwiększania „na siłę” ich liczby, obniżenia poziomu i nadprodukcji niepotrzebnych absolwentów. Warto popatrzeć, jaki system finansowania mają uczelnie z czołówki list rankingowych na świecie. Większość z nich to uczelnie prywatne. Środki, jakimi dysponują, pochodzą z odsetek lub zysków od dużego kapitału bazowego, co oznacza, że nie zależą ani od liczby studentów, ani zatrudnionych naukowców. Mając fundusze prywatne, uczelnie nie muszą podlegać rozbudowanym przepisom socjalnym, mogą dowolnie kształtować pensje uczonych i nauczycieli oraz określać racjonalnie liczbę studentów, wysokość czesnego i zakres pomocy stypendialnej. Drugim ważnym źródłem finansowania tych uczelni są środki zdobyte w konkursach grantowych. To powoduje, że uczelnie, chcąc maksymalizować te środki (przy minimalizacji kosztów), zatrudniają tylko najlepszych naukowców, którym dobrze płacą, ale którzy za to zdobywają wiele funduszy dla uczelni, w tym na opłacanie młodych współpracowników i studentów. Przenosząc to do nas, można by dotację dydaktyczną przyznawać jako wielokrotność funduszy uzyskanych z grantów w poprzedzających latach. Jako drugi wskaźnik jakości uczelni dobrze byłoby wprowadzić wskaźnik sukcesu w zdobywaniu pracy przez absolwentów i, ewentualnie, wysokość początkowej pensji. W obecnych czasach niemal pełnej komputeryzacji naszego życia powinno być to możliwe, choćby przy użyciu numeru PESEL. Dotacja budżetowa nie powinna natomiast zależeć ani od liczby studentów, ani od liczby pracowników. Do tego musi dojść swoboda w kształtowaniu pensji, polityce zatrudnienia i wysokości czesnego. W najlepszych uczelniach na świecie czesne nie jest znaczącym źródłem dochodów – nawet nie zawsze pokrywa rzeczywiste koszty kształcenia. Takie uczelnie starają się raczej uzyskać status szkoły elitarnej, gdyż w sumie bardziej się to opłaca niż masowość kształcenia. A co z uczelniami spoza czołówki? No cóż, wszędzie są uczelnie lepsze i gorsze. Rzecz w tym, czy polityka państwa powinna spłaszczać rankingi w imię specyficznie pojętej sprawiedliwości, równając w dół, czy raczej pozwolić na uformowanie się czołówki, do której, równając w górę, będą aspirowały kolejne uczelnie. Słabe uczelnie, wypuszczające kiepsko przygotowanych absolwentów niskokosztowych kierunków, musiałyby liczyć głównie na czesne od studentów, którzy, nie bacząc na wyraźne sygnały ze strony państwa, chcieliby ukończyć jakiegokolwiek studia.

4. A jak jest teraz?

Niestety, obecny system finansowania studiów przez państwo jest przeciwieństwem tego, co być powinno. Faworyzuje szkoły publiczne kosztem prywatnych, niezależnie od ich poziomu i kierunków kształcenia. Dotacja zależy praktycznie wyłącznie od liczby studentów i wielkości kadry nauczającej. Ponieważ system pozwala obłudnie pobierać opłaty od studentów za studia niestacjonarne, duża część chętnych przyjmowana jest w tym trybie, przy reglamentacji przyjęć na studia stacjonarne. W sumie, system jest skrajnie niesprawiedliwy, ignoruje jakość kształcenia i prowokuje zachowania sprzeczne z racjonalną polityką społeczną, gdyż chcąc maksymalizować wpływ finansowy, każda uczelnia przyjmuje coraz więcej studentów, najlepiej na tanie w utrzymaniu kierunku, i zwiększa liczbę kadry do granic możliwości. Miały być obficie finansowane „okręty flagowe” (ostatnio nazywane uczelniami badawczymi), ale obawa przed protestami słabych uczelni zniechęciła władze do wprowadzenia zmian. Nawet słuszne w zamyśle wytypowanie najlepszych jednostek naukowo-dydaktycznych, tzw. KNOwów, zostało załatwione kunktatorsko poprzez przyznanie tego statusu wielkim konglomeratom kilku jednostek, niekoniecznie reprezentujących tę samą specjalność. Sektor prywatny, pozbawiony subsydiów publicznych, musi z czesnego pokryć wszystkie koszty, co też wymusza podobne zachowania. Tylko nieliczne szkoły prywatne, którym udało się uzyskać wysoką pozycję międzynarodową, pozwalają sobie na ograniczenie liczby studentów, podnosząc czesne i licząc na dobrą opinię wśród świadomych kandydatów na studia.

5. Współudział studenta

I wreszcie trzeci udziałowiec – student. Każdy student powinien ponosić jakąś część (a czasem całość) inwestycji w swoją wiedzę i umiejętności. Tego wymaga nie tylko sprawiedliwość społeczna, ale i racjonalne podejście do własnej kariery zawodowej. Przed podjęciem studiów należy rozważyć kilka ważnych kwestii. Jaka grupa kierunków wchodzi w rachubę ze względu na moje możliwości intelektualne? Na jaką pomoc ze strony państwa i przyszłych pracodawców mogę liczyć? Jakie są możliwości pracy po studiach? To są pytania, na które powinna odpowiedzieć sobie każda osoba planująca studia. Płacąc nawet dość wysokie czesne na dobrej uczelni za kierunek, po którym znajdzie pracę, i przykładając się do nauki, student wie, że otrzyma pomoc państwa, a na starszych latach może z dużym prawdopodobieństwem liczyć na udział w badaniach naukowych finansowanych z grantu opiekującego się nim profesora. Można też, oczywiście, przykładać największą wagę do bliskości uczelni czy do faktu, że określony kierunek łatwo skończyć, bo wymagania wykładowców są bardzo niskie, a i czesne umiarkowane. Każdy ma wolny wybór. W demokratycznym państwie przestrzegającym zasad wolności zawsze będą istniały uczelnie oferujące „tani” dyplom za niewielkie pieniądze w zawodzie, gdzie nie znajdzie się praca. Natomiast odpowiednie organy państwa powinny na bieżąco informować społeczeństwo, które uczelnie i kierunki są popierane i współfinansowane przez budżet, a które nie.

Podsumowując: czesne tak, i to nawet swobodnie kształtowane przez uczelnie, ale tylko po głębokiej zmianie całego ministerialnego systemu finansowania studiów.

KAZIMIERZ STĘPIEŃ

Katedra Astrofizyki Teoretycznej
Obserwatorium Astronomiczne Uniwersytetu Warszawskiego